

PIATA Z KWARTETU

DOROTA
COMBRZYŃSKA
-NOGALA

PIĄTA Z KWARTETU

Dorota Combrzyńska-Nogala
Piąta z kwartetu

© by Dorota Combrzyńska-Nogala
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka:
Elżbieta Chojna

Redakcja i korekta:
Irena Bolek

Skład:
Joanna Pijewska

Wydanie II (poprawione)
I w Wydawnictwie Literatura Piętro Wyżej

ISBN 978-83-7672-571-0

Wydawnictwo Literatura, Łódź 2019
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wydawnictwoliteratura.com.pl
tel. (42) 630-23-81
www.wydawnictwoliteratura.pl
www.pietro-wyzej.pl

Letnisko w Wiśniowej Górze

Wpadające przez brudne szyby zimowe słońce z bezlitosną skrupulatnością wydobywa pozbijany w kłaczki kurz. Na wielkim, czeczotkowym łożu śpią, opatulone różowymi kołdrami po czubki głów, trzy osoby. Stopa w pasiastej, dziurawej skarpetce wisi nad sznurkowym dywanikiem. Małe dziecko zaczyna płakać. Przez chwilę nic się nie dzieje. Potem matka i córka zrywają się gwałtownie. Jedna porywa chłopczyka na ręce i zaczyna energicznie kołysać.

- Cicho, maleńki, cicho, zaraz dostaniesz suchą pieluszkę. Prześcieradło zostaje podarte na pieluchy. Dziecko wyje.
- Chyba jest głodny!
- Matka idzie do kuchni.
- Woda zamarzła w czajniku – stwierdza beznamiętnym tonem.
- Trzeba napalić w piecu – radzi córka.
- Nie umiem napalić w piecu – odpowiada poirytowanym głosem matka. – A poza tym nie ma czym.
- Przyniosę trochę gałęzi.
- Wzruszenie ramion
- Przynajmniej spróbuj – w głosie dziewczynki pojawia się błagalna nuta, a potem słychać trzaśnięcie drzwi.

Chłopiec stoi przy oknie na krześle. Przez kółeczko w zamrażniętej szybie patrzy na zimowy las. Siostra chodzi między drzewami i zbiera gałęzie. Z trudem wyciąga ze śniegu duże, czerwone boty. Dociera do siatki, za którą stary mężczyzna rąbie drewno na opał. Rozmawiają. Dziecko widzi ruch głowy starca w kierunku gałęzi, które trzyma w ramionach siostra. Dziewczynka potakuje. Mężczyzna wrzuca do starego wiklinowego kosza kilka polan i trochę węgla z drewni. Podchodzi do niego kobieta, zawinięta w grubą chustę. Podaje parującą na mrozie butelkę mleka. Kręci głową z dezaprobatą i litością jednocześnie. Za szybą rozkwita jaśniejący uśmiech. Idą razem, dziewczynka już wesoło podskakuje. Tak! Sytuacja została opanowana i wszystko będzie dobrze. Ciepło i dobrze. Starzec człapie. Obarczony ciężarem opału, przechyla się niebezpiecznie na jedną stronę.

Matka chodzi nerwowo po pokojach. Obgryza paznokcie. Patrzy przez okno. Na przysypaną śniegiem kupkę cegieł, walające się po lesie deski. Potem na usmarkanego synka z czerwonym nosem. Stanowczo ściąga brwi.

– Idę – oświadcza nagle. – Zaopiekujesz się małym? – prosi błagalnie córkę.

Ta spogląda na nią naburmuszona.

– Jedziesz tam?

– Wiesz, że muszę! Nie mamy innego wyjścia.

– Nie! Proszę! Nie!

– Kasiu! Zrozum! Dłużej tu nie wytrzymamy. On nie wytrzyma.

Dziewczynka patrzy w rozterce to na matkę, to na brata.

– Jedź! – krzyczy. – Ale to nie jest dobry pomysł. Przecież ty nigdy nie masz dobrych pomysłów!

Matka nalewa wody do miski. Obmywa twarz, pachy. Jeszcze bardziej rozmazuje wczorajszy makijaż. Zaczyna się denerwować.

– Boże! Spóźnię się na pociąg.

Naciera twarz kremem. Maluje się starannie, choć trochę wyzywająco.

– Dlaczego zawsze robisz taki makijaż? – pyta córka, bacznie ją obserwując.

– Jaki?

– No, taki... duży.

– Zawsze się tak malowałam.

– Właśnie... Kobiety z tych pism, które kupujesz, inaczej to robią.

– Znowu ci się coś nie podoba – mówi rozgoryczona kobieta. Pociąga pomadką wargi. Przygryza je. Patrzy kokieteryjnie w lustro. Tapiruje grzywkę. Przeobraża się. Podnieca ją perspektywa wyjścia. Jeszcze kropelka perfum. Myśli: już za moment wyrwę się z tego lasu, odetchnę, choć na krótko. Zakłada buty. Długie, piękne futro. Chwyta czapkę, ale przypomina sobie o ufryzowanej grzywce i rezygnuje. Całuje Kasię i synka.

– Uważaj na niego. Błagam cię!

– ...

– Postaram się prędko wrócić!

– Dobrze. Nie martw się. Nie rób głupstw, mamo, i kup coś do jedzenia.

Dziewczynka zamyka za nią drzwi.

Kobieta przedziera się przez zaspę. Kiedy dochodzi do ulicy, jej krok staje się już zalotny, lekki. Podnosi wysoko brodę i wdycha z radością czyste powietrze, ciesząc się z odzyskanej na chwilę wolności od kłopotów, zimna i wyrzutów sumienia.

– Pani będzie uprzejma normalny bilet do Justynowa – prosi na małej stacyjce w Bedoniu, do której dociera po długim marszu.

Odbiera bilet, kryjąc paznokcie ze złuszczonym lakierem.

– Dziękuję uprzejmie. Na pewno tak powiedziała – Kasia opowiada bratu, towarzysząc matce myślami. – Zawsze tak mówi. To się nazywa wyszukana uprzejmość. Tak twierdziła babka.

– To były dobre czasy – zwierza się chłopczykowi, który uśmiecha się do niej promiennie. – Mieszkałyśmy wtedy u babci,

mama i ja – milknie, a po chwili dodaje – i z tatusiem oczywiście. Ale się nie lubili. Babcia i tata. Tata nie był wykształcony. Dla naszej babci to zbrodnia... Chociaż mama też nie jest specjalnie wykształcona. Babcia uważała, że to przez ojca. Że ją w dół ciągnie, nie w górę. Czy coś takiego... Nie rozumiesz? Nie szkodzi. Ja wtedy też nie bardzo. Teraz myślę, że chodziło o to, że mogli się razem uczyć... Był jeszcze dziadek. Dobry i cichy. Nie odzywał się. Zupełnie jak ty. Ale umiał mówić. Czytał mi bajki... Nie możesz tego pamiętać. Nie było cię na świecie. Ani twojego ojca. To znaczy on już był. Ale zupełnie gdzie indziej. Dopiero później przelazł do naszego świata. Wszystko się zmieniło... Babcia tak bardzo nie była w stanie polubić mojego taty, że go przegoniła. Oczywiście mówiła, że sam poszedł... A ona przecież się starała. Panie Boże, prosiła, spraw, żebym tak go lubiła, jak go nienawidzę. Tak! Starła się, jak nie wiem co! Ale nic z tego nie wyszło. Ciągłe pretensje miała o mamę. A przecież to nie była jego wina, że mama jest taka, jaka jest. Prawda?

Ubiera chłopca ciepło.

– Idziemy na spacer. Nazbieramy szyszek i gałązek. Napalimy w piecu.

Wychodzą. Nie zamykają drzwi. Jest błękitny, mroźny dzień. Wróble osypują na nich śnieg z choinek. Dziecko zanoszą się czystym śmiechem. Trzeszczy suchy śnieg pod nogami. Śnieżki rozsypują się w powietrzu, nie docierając do celu. Skrzypi furtka.

Pani Mireczka, sąsiadka, wyciąga w ich kierunku talerz z gorącymi pyzami w gęstym sosie.

– Proszę. Akurat zrobiłam. Zjedzcie w domu.

Ale oni już jedzą łapczywie, parząc sobie usta. Sos ścieka po brodach na rękawy.

– Moje gołąbki – chlupie kobieta i odchodzi z pustym naczyniem.

Zbierają szyszki i gałązki do kosza. Zaprzyjaźniona wiewiórka przygląda im się z ciekawością. Przy furtce stawiają bałwana w czerwonym kapeluszu.

– Teraz dodamy mu oczy z szyszek i nos z patyka. Zobacz! Uśmiechnie się do ciebie, jak mu zrobię usta od ucha do ucha.

Chłopczyk w zachwycie bije brawo i tupie nóżkami.

– Pomachaj mu. Wracamy do domu. Dam ci mleka i może trochę pośpisz.

* * *

Stareńka Mireczka Czerwinow wraca ze sklepu. Jest późne zimowe popołudnie. Wszędzie pełno niebieskich cieni drzew.

– A pani czego szuka? – zagaduje młodą kobietę, która stoi bezradnie na drodze i rozgląda się.

– Szukam pewnej rodziny. Nie mogę znaleźć tego numeru – pokazuje kartkę.

– Pewnie chodzi o naszą Mariolkę, co się tu wiosną z dziećkami sprowadziła.

– Tak, właśnie.

– To tu – staruszka kiwa głową w kierunku ogrodzenia. – A pani skąd? – pyta zaciekawiona.

– Ze szkoły. Kasia już dwa tygodnie nie chodzi na zajęcia. Czyżby chorowała? Nie mam od matki żadnych informacji.

Patrzą na siebie z troską.

– O, pani! Źle u nich. Matka w tych warunkach w ogóle sobie nie radzi. Pani wie, jak się żyje w lesie. Napalić trzeba w piecu, wody ze studni nanieść. A ona nienawykła. I ręce też takie lewe do roboty. A jak ją ten jej zostawił na rozgrzebanej budowie... to już – macha ręką zrezygnowana. – A zostawił – znacząco zniży głos – jak się pieniądze skończyły. Wyssał ją do cna. Dobrze, że ta Kasia chociaż jest. Inaczej zmarnowałyby małego. To taka zmyślona dziewczynka. I gałązek na podpałkę nazbiera, wody przyniesie i bratem się zajmie. Jak Mariolka, znaczy się jej matka, bo my ją od małego znamy, kompletnie sobie rady nie daje z piecem i mrozem, to Kasia do nas przyleci i ratujemy, jak możemy. No, do widzenia – kończy nagle i znika za swoją furtką.

Nauczycielka spogląda przez moment na mały domek letni-skowy, ukryty w głębi leśnej działki, bierze głęboki oddech i rusza naprzód. Skrzączą zawiasy. Za furtką czai się bałwan z upiornym uśmiechem. Kobieta puka do drzwi. Nic. Naciska klamkę.

– Dzień dobry – mówi półgłosem.

Nikt nie odpowiada, tylko coś delikatnie się porusza. Dziewczynka kładzie palec na ustach, nakazując ciszę. Wykonuje gest zachęcający do zajęcia fotela. W wózku usypia niespokojnie dziecko. Jest zimno, a z kątów wylazi już ciemność. Na stole, w słoiku stoi na wpół wypalona świeczka. Kobieta ogarnia dyskretnym spojrzeniem całą tę nędzę i zaciska palce na torebeczce. Trwają obie tak przez dłuższą chwilę, dopóki wózek z dzieckiem nie znika w sąsiednim pomieszczeniu. Nauczycielka zapala zapalniczkę. Dziewczynka siada naprzeciw. Milczą.

– I co będzie?

Wzruszenie ramion oznaczające rezygnację, nie lekceważenie.

– W szkole przynajmniej jest ciepło.

– Wiem. Lubię szkołę, ale mama nie dałaby sobie sama rady.

– Dałaby sobie radę. Jest dorosła. Zdrowa.

– Nie... chyba... nie jest.

– Boże! Napalmy w piecu. Twój brat zamarźnie.

– Paliłam szyszkami, ale wygasło.

– Pomogę ci. O, tu jest trochę węgla – bierze się do rozpalania.

– Jadłś obiad?

– Tak.

– A podwieczorek?

– Nie.

Nauczycielka zagląda do szafki. Jest w niej jedno jajko i resztkę oleju.

– Macie mąkę?

– Tak. Gdzieś tam wyżej.

– Jak się lepiej rozpali, zrobię ci naleśniki.

Odsuwa z płyty pieca garnki ze spleśniałymi, a później zamarniętymi resztkami jedzenia.

– Kasiu! Tak dłużej być nie może. Wiesz o tym?

– Wiem.

Robi się nieznacznie cieplej. Dziewczynka pochłania naleśniki posmarowane dżemem, który nauczycielka wyjęła ze swojej torby. Prosi o wieści z klasy. Jak tam jej koleżanki i kto teraz karmi świnkę morską. Za oknem głęboka noc. Ktoś gwałtownie otwiera furtkę i mknie ku cichemu domowi. Wraz z postacią wdiera się lodowate powietrze.

– Mamo! – krzyczy Kasia do szlochającej matki, która przytula ją mocno do siebie.

– Miałś rację, kochanie! To nie był dobry pomysł. Ja naprawdę nie mam dobrych pomysłów.

– Dzień dobry pani.

Matka gwałtownie obraca się do nauczycielki. Nawet nikłe światło świecy ujawnia dramatyczny siniec pod okiem i zadrapania.

– Ach! To pani. Przestraszyłam się. Dzień dobry.

– Ktoś panią napadł!

– Mamo, co się stało? Mówiłam ci, mówiłam ci, mówiłam ci, żebyś tam nie szła!

Okłada matkę pięściami. Ta nieporadnie się zasłania. Nauczycielka łapie i odciąga wierzgającą i wyjąca dziewczynkę. Matka, płacząc, osuwa się na fotel. Z nóg zwisają podarte na strzępy rajstopy. Fragment kosztownego futra jest wyrwany.

– Już, już spokój. Daj mamie kawałek naleśnika, zrobimy herbatę. Już dobrze.

– Myli się pani. Nic nie jest dobrze! – kobieta wyciera nos wierzchem dłoni.

Zrywa się na płacz syna. Wraca, tuląc go do siebie.

– Nie płacz, maleńki. Mamusia już przyszła.

Gorąca herbata paruje w kubkach.

– Zrobiła pani zakupy? – nieśmiało pyta nauczycielka.

Kobieta patrzy na nią wroga i zdumiona.

– Jakie zakupy? Pani wie, przez co ja dzisiaj przeszłam?

Głos podnosi się aż do krzyku.

– No tak... ja rozumiem... ale dzieci muszą coś jeść.

Wystraszony chłopczyk wyrывa się matce. Kasia wciska mu w rączkę zwinięty naleśnik i malec natychmiast się uspokaja.

– Kasia musi się uczyć. W przeciwnym razie szkoła będzie zmuszona podjąć odpowiednie w takich wypadkach kroki. Czy pani zdaje sobie z tego sprawę?

– Tak, tak. Ale sama pani widzi, jak my tu żyjemy.

– Tym bardziej córka powinna chodzić do szkoły.

– Ja rozumiem. Ale... razem... wie pani. Razem jest nam tu różnie – przyznaje rozbijając.

Nauczycielka nawet nie wie, co ma na to powiedzieć. Nic nie przychodzi jej do głowy poza banałami albo kazaniem. Siedzą więc w milczeniu.

– Pojechałam do jego rodziny, do Justynowa... No, wie pani – do ojca Damiana, żeby mi pomogli, bo przecież dłużej tu nie wytrzymamy. A tam... – bierze głęboki oddech. – Jego żona. Pani patrzy, co mi zrobiła. Zawołała siostrę, szwagrow, całą swoją zbójcką rodzinę. Jeszcze za mną krzyczała, że jej coś ukradłam – milknie na chwilę, patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem. Rozszerzone strachem oczy zwężają się nagle.

– To wilcza rodzina. Było strasznie. Ja nie mogę czasem uwierzyć, że tu jestem. Że nas tu zostawił, z maleńkim dzieckiem... Mówił, żebym mieszkanie sprzedała. Dom wybudujemy dla dzieci. Świeże powietrze, lepsze warunki do wychowywania... Początkowo było jak we śnie. Spotkania z architektem. Wybieranie koncepcji. Obiady w restauracjach. Pracę porzucił, żeby się budową zająć. A potem... zostawił nas bez niczego. Po tym wszystkim co dla niego zrobiłam i co jeszcze gotowa byłam zrobić. To naprawdę nie do wiary. Tyle pieniędzy wyrzuconych w błoto. Ale już przepadło. Tylko darować sobie nie mogę, że taka głupia by-

łam. A on mi takie bajki opowiadał, przekonywał – patrzy gdzieś w ścianę za nauczycielką. Z jej twarzy nie schodzi wyraz osłupienia, jakby dalej nie wierzyła, że to nie sen.

– Boże! Moja matka pewnie się w grobie przewraca, jak to widzi. Żeby ona żyła, to na pewno wszystko by inaczej wyglądało – nerwowo wyłamuje palce.

– Teraz musi sobie pani sama radzić. Nie myślała pani o pójściu do pracy?

– Do pracy? – totalne osłupienie. – A co ja z dzieckiem zrobię?

– Może do przedszkola?

– Do przedszkola! – pogardliwe prychnięcie. – Żeby mi zaczął chorować!

– No, ale przecież kiedyś będzie pani musiała coś zrobić.

– Coś wymyślę...

Łomotanie do drzwi przerywa coraz bardziej kłopotliwą dla obu kobiet rozmowę.

– Policja! Proszę otworzyć!

– Boże! Czego oni mogą chcieć? Otwarte! – zastanawia się kobieta i staje w drzwiach.

– Dzień dobry. Pani Mariola Jaros? – wchodzi wysoki, młody policjant. – Była pani dzisiaj w domu Zapałów?

– Byłam.

– Oskarżają panią o napaść, obrazę i próbę kradzieży.

– A to suka! To nieprawda! Poszłam tylko prosić o pomoc! Nie może mi go darować! A przecież jej nie chciał! Nawet jak odszedł ode mnie, to do niej też nie całkiem wrócił. A i to tylko dlatego, że mu obiecali ziemię. Co spokojnie? – rzuca szklanką o ścianę, kopie krzesło, krzyczy. – Jak mam być spokojna po tym wszystkim! Cała pościel poszła na pieluchy dla tego wilczego nasienia – wskazuje na krzyczącego wniebogłosy chłopca. Nienawiść zmienia jej głos w syk. – To z jego nasienia, wilczego. Ludzkie dzieci w jego wieku już dawno mówią, a on nie powiedział jeszcze ani jednego słowa, ani jednego najkrótszego słowa. I nie robią pod siebie!

Zapada cisza. Nawet chłopiec przestaje płakać. Wstrząśnięta Kasia patrzy na matkę, jakby zobaczyła ją pierwszy raz w życiu.

– A więc dlatego to wszystko.

– Dlaczego? – matka pyta napastliwie.

– Ty nas po prostu nie kochasz. Nigdy nas już nie zobaczysz!

Błyskawicznie bierze brata na ręce, chwytając czapkę i wybiega z domu. Policjant rzuca się za nimi. Ale Jarosowa łapie go za ramię.

– Niech idą. Ani się obejrzymy, jak wrócą. Kłopoty zawsze wracają, jak bumerang. – Zastyga w kamienny posąg, by po kilku sekundach wybiec z wrzaskiem na ośnieżoną ścieżkę prowadzącą do furtki.

– Kasiu! Wracaj! To nieprawda! Wracajcie! Ja przecież tak nie myślę. Kocham was.

Z płaczem osuwa się między drzewa. Młody policjant i nauczycielka stoją nad nią zakłopotani. W zimnym i srebrnym świetle ich ciała rzucają nikły cień na śnieg. Ciemny dom majaczy za gęstymi świerkami.

– Szukajmy ich. Nie mogli przecież daleko odbiec.

– Już ich nie znajdzie! To moja wina! – matka dalej klęczy w śniegu i chowa twarz w dłoniach.

– A pewnie – nie wytrzyma nauczycielka. – Pani Jarosowa, pani się lepiej w garść wreszcie weźmie, bo noc idzie i jeszcze w lesie zamarzną.

– To prawda. Pomogę paniom – popiera ją policjant. – Albo nie. Proszę zostać. Mogą przecież wrócić. Robi się coraz zimniej.

Kobieta wstaje i znużonym krokiem podąża za znikającą między drzewami nauczycielką. Próbuje się objąć zziębniętymi rękami. Staje niezdecydowana i w końcu wraca do cichego domu. Wolno zakłada podarte futro. Z sąsiedniego pomieszczenia dochodzi słaby blask świeczki. Opiera się o drzwi. Dzieci nieopstrzeżenie wrócili do domu. Córka pospiesznie się pakuje.

– Przepraszam.

– ...

– Przepraszam!

Kasia nadal milczy.

– Przepraszam! Przepraszam! Przepraszam! Kasiu... przecież wiesz...

– Wiem – dziewczynka dalej sprawnie ogarnia cały ich niewielki dobytek.

– Nie wiesz!

– Ależ wiem. Nic już nie mów. Pomagaj. Nie możemy przecież tu zostać. Chociaż, mimo wszystko – rozgląda się z gorzkim uśmiechem. – Dobrze nam tu, ale... Nauczycielka, policjant. Same kłopoty.

– Och, nie!

– Słyszałaś, co mówiła.

– Będziesz chodziła do szkoły!

– A dasz sobie radę?

– Dam – szczupła dłoń uderza mocno w piersi, aż dudni.

– Od jutra?

– No... Jutro może byś została. Ja po tym wszystkim... Od poniedziałku? – pyta z nadzieją.

– Sama widzisz – zrezygnowana Kasia wzrusza ramionami. – W końcu wylądujemy w pogotowiu opiekuńczym. I jeszcze ten policjant... Spiesz się – podnosi głos. – Spróbujemy zdążyć na ostatni pociąg.

– Mamy iść taki kawał po nocy do Bedonia, z bagażem i z dzieckiem? – pyta ze zgrozą matka.

– A masz inny pomysł?

– Może ktoś nas podwiezie autostopem?

– Może ten młody policjant? Pewnie już czeka na drodze.

– No, dobrze już, dobrze, chodźmy.

Gaszą dopalającą się świeczkę i wychodzą z domku, nie zamykając drzwi na klucz.

– Przynajmniej zamka łomem nie rozwalą. A teraz cicho! – mruczy Jarosowa.

Z daleka dolatują nawoływania.

– Nie możemy iść normalnie, bo się na nich natkniemy – uważa bystro matka. – Pójdziemy dookoła. Przez las.

Brną z wysiłkiem przez głęboki, sypki śnieg. Jarosowa ciągnie za rękę syna. W drugiej ręce trzyma walizkę. Kasia niesie szkolny plecak i wypchaną torbę podróżną. Przystają co chwila.

– Już nie mogę! – jęczy kobieta.

– Możesz. Skup się tylko.

– On w ogóle nie chce iść.

– Zmarł... Mów do niego. Do niego trzeba mówić.

– Co mam mówić? – wścieka się matka. – Płakać mi się chce, a nie mówić – szarpie chłopca mocniej.

– Ty weź torbę, a ja będę prowadziła Damiana. Spieszmy się.

* * *

Nauczycielka i policjant wrócili po godzinnych poszukiwaniach.

– Pani przemarzła – policjant spojrział na jej cienkie rękawiczki i lekką, elegancką kurteczkę. – Może są już w środku? – Zapukał. Bez skutku. – Jak to... Miała na nich czekać. – Nacisnął klamkę. Drzwi ustąpiły.

– Uciekła. Dlaczego nie jestem zdziwiona?

– Cholera. Daliśmy się wyprowadzić w pole.

– Dzieci szkoda... Dziewczynki. Jest bardzo zdolna i ma talent muzyczny. Podobno po matce. U sąsiadów jeszcze się świeci. Porozmawiajmy z nimi.

Zanim doszli do furtki, w ogrodzie pojawiła się Mireczka Czerwinow z naręczem drewna.

– Co się dzieje? – spytała.

– Kolejna awantura. Zdaje się, że się wynieśli.

Staruszka pokręciła głową i zaprosiła ich do domu na herbatę. Policjant przejął od niej ciężar. Przez drewnianą werandę weszli do kuchni. Przy kafłowym piecu siedział stary mężczyzna

i w szklanej fífce palił połówkę papierosa. Powitał ich życzliwie. Wielki aluminiowy czajnik zaczął parskać zagotowaną właśnie wodą. Gospodyni zakrzętała się koło herbaty, opowiadając jednocześnie mężowi wydarzenia z ostatniej chwili.

– Oj, niedobrze się stało. Niedobrze. Wystraszyli wy ją – zaciągnął staruszek.

– Dzieci szkoda na poniewierkę. Tu chociaż my podkarmili i szczenąc z głodu nie dali. A tam, w wielkim mieście – machnęła ręką. – A pani by się wstydziła – zwróciła się do nauczycielki. – Policję od razu ściągać.

– Sam przyszedłem. Doniesienie na obywatelkę Jarosową było. Że się awanturuje, kradnie i dziecko podobno głodem przymiera. Dlatego tak szybko tu jestem. To dokąd ona poszła?

– A mnie skąd wiedzieć? Do miasta Łodzi pewnikiem poleciała, bo tu nikogo nie ma. Oni tu za dawnych lat na lotnisko tylko zjeżdżali. Jeszcze jak starsze państwo żyło. Zbigniew, znaczy jej ojciec, dziadek Kasi, to był pan, ino cichy, za cichy jak na taką żonę. Bo matkę miała Mariolka z tych, co to wszystko najlepiej wiedzą, wszystkimi rządzą. No, jędza to była, po prostu. Jak Mariolka podrosła, to – jak to młoda – z chłopakami się spotykała. Jak ją raz matka na całowaniu się przy furtce zobaczyła, za włosy do domu przy tym chłopaku zawlokła. Dziewczyna dorosła już była, jak ją siłą do ginekologa zawiodła, żeby sprawdzić, czy aby dziewictwa nie straciła... Okazało się, że nie tylko straciła, ale i w ciąży jest, i to z młodszym od siebie chłopakiem. A ten tak się ewentualnej teściowej przestraszył, że uciekł. Halina kazała usunąć. Parę lat był spokój. Mariolka na jakieś kursy chodziła. Pracowała i nawet nie buntowała się specjalnie. Widać od małego zwyczajna takiego traktowania. Ojciec, choć mu się nie wszystko w domu podobało, cicho siedział. Ale on starszy był od matki Mariolki. Jeszcze w wielkim powstaniu w Warszawie walczył i od tej pory taki dziwny.